

Świat wegetariańskich cyklistów oraz nienormalna polskość

5 stycznia 2016

Od lat słyszy się, że w Polsce panuje niska kultura prawna, czyli styl funkcjonowania i stosowania prawa w społeczeństwie. Na początku transformacji Gazeta Wyborcza ogłosiła pojęcie „falandyzacji prawa”, które stało się następnie sztandarowym przykładem psucia kultury prawnej. Jest to stwierdzenie na wyrost, gdyż tzw. falandyzacja była jedynie formą wzmacniania siły i efektywności władzy wykonawczej. Prof. Falandysz wyszedł z założenia, że ten kto powołał może także odwołać. Ponieważ jednak była to interpretacja w interesie Wałęsy, więc jego przeciwnicy przyjęli, że falandyzacja była czymś z gruntu złym. Chodziło wówczas o odwołanie przez prezydenta dwóch członków KRRiT, których powołał. TK odrzucił wówczas interpretację Falandysza, lecz czy możemy dziś powiedzieć, że kultura prawna zyskała na tym wiele? Gdyby tak zwyciężyła wówczas zasada, że ten kto powołał może także odwołać, mogłoby to otworzyć drogę do takiej samej interpretacji np. w zakresie odwołania posłów – wyborcy, którzy wybrali posła mogliby go odwołać, gdyby stracili doń zaufanie. Jakżeby to wzmocniło demokrację w Polsce!

W istocie więc falandyzacja nie była tak straszna dla kultury prawnej, jak się uważa. Sądzę natomiast, że ćwierć wieku doświadczeń III RP pokazało, że większym problemem jest niska efektywność władzy wykonawczej („państwo istnieje teoretycznie”) i dalszy rozwój ustroju będzie zmierzał w kierunku jej umocnienia.

Stawiam tezę, że głównym źródłem niszczenia kultury prawnej stała się mediokracja, czyli wysterowywanie konfliktów i debat politycznych przez media. Trzeba bowiem pamiętać, że choć

prawo dysponuje specjalistyczną aparaturą pojęciową, w przeważającej mierze opiera się jednak na języku potocznym. Media zaś, które najsilniej kształtują dominującą kulturę językową mają też istotny wpływ na kształtowanie całej kultury prawnej.

Obecne media wywierają wpływ wyłącznie negatywny.

Dla każdego humanisty, który przywykł do wysublimowanego, wielowarstwowego używania języka, w którym sensy kształtują nie tylko słowa, ale i konteksty czy figury retoryczne, aktualna debata publiczna to horrendum, w którym dominuje prostackie okładanie się wyrwanymi z kontekstu, deformowanymi urywkami wypowiedzi. To ogromnie wpływa na cały sposób komunikowania się i użytkowania języka.

Zjawiska te infekują także kulturę prawną czyli sposób rozumienia i stosowania prawa. Tak jak sens języka potocznego kreują nie tylko słowa, ale i figury oraz kontekst, tak i w języku prawnym sens tworzy zarówno litera prawa jak i jego duch, czyli te bardziej wysublimowane czynniki znaczeniowe.

W języku potocznym, jak pisałem, media wytrwale trzebią czytanie kontekstów, dominuje prymitywne czepianie się słówek i fraz. I to samo dzieje się w języku prawnym. Ginie duch prawa czyli wyższa kultura prawna.

Kiedy sędzia skazuje za kradzież wafelka na więzienie to przestaje on mieć cokolwiek wspólnego z wymiarem sprawiedliwości, staje się zwykłym młotkowym prawa. Kiedy policja zajmuje się głównie ściganiem palaczy trawki, zamiast realnymi przestępstwami, to nie są oni stróżami prawa, lecz kikuta prawa – pozbawionego ducha, czyli głębszego sensu.

Smutnym potwierdzeniem upadku kultury prawnej w Polsce była reakcja medialna na słowa Kornela Morawieckiego, który powiedział rzecz banalną w naszym kręgu kulturowym: „duch prawa stoi ponad literą prawa”. Z miejsca runęły nań autorytatywne gromy potępienia płynące z medialnego

mainstreamu, które sprowadzały się do tezy, że praworządność to litera prawa, zaś duch prawa to w najlepszym razie średniowieczny przesąd metafizyczny, w najgorszym zaś – recydywa nazizmu, faszystów i komunizmu.

Reakcja ta jest dowodem na całkowity upadek kultury prawnej w Polsce: jest bowiem dokładnie odwrotnie niż gardłowano w mediach, duch prawa jest wyznacznikiem wysokiej kultury prawnej. Systemy totalitarne nie miały nic wspólnego z duchem prawa, gdyż dominowały w nich czynniki pozaprawne oraz literalne czytanie prawa. Duch prawa wywodzi się natomiast z rzymskiej kultury prawnej, która obok pojęcia *lex* (litera prawa) wyróżniała także pojęcie *ius* (duch prawa).

W prawoznawstwie ta dualność prawa jest dość oczywista: wykładnie literalne są tylko najbardziej podstawowymi, lecz poza nimi jest cały kompleks kilku innych rodzajów wykładni prawa.

W praktyce stosowania prawa także jest to oczywiste, są np. orzeczenia Sądu Najwyższego w którym sąd przyjmuje taką wykładnię pojęcia przedsiębiorcy, które „lepiej oddaje ducha prawa ochrony konkurencji”.

Do niedawna było to dość zrozumiałe także w debacie publicznej i to nie tylko po prawej stronie. Np. w serwisie NaTemat.pl pisano dawno temu: „Kiedy urząd skarbowy ściga kioskarkę za niewydanie rachunku, jesteśmy zwolennikami ducha prawa (a ten „doradza”, żeby karać za działania wyrządzające komuś lub czemuś „rzeczywistą” szkodę). Podobnie reagujemy, kiedy straż miejska nakłada mandaty na pijących piwo poza ogródkiem piwnym (szczególnie jeśli to nas „spisano”). Przede wszystkim jednak ubolewamy nad urzędnikami (a także sędziami i prokuratorami) zasłaniającymi się literą prawa, formalnościami i procedurami, kiedy idzie o realizację naszych rzeczywistych bądź wyimaginowanych uprawnień. Ale – jak się okazuje – w mgnieniu oka możemy przeistoczyć się w zwolenników zasady *dura lex sed lex* (czy jakiejś wersji tej zasady), szczególnie kiedy na

ducha prawa powołuje się nie przez wszystkich lubiany minister.”

Janusz Wojciechowski, wieloletni sędzia, w 2012 r. pisał o śmierci ducha prawa: „Prawo wyzionęło ducha. Nie jest dla człowieka, lecz człowiek jest dla prawa. Kiedyś prawo składało się z litery i ducha. Dziś ducha nie ma, a prawo nie jest dla człowieka, lecz człowiek jest dla prawa.”

W moim przekonaniu istnieje głęboki związek między upadkiem debaty publicznej – w której słowa przestają być częstkami znaczeń, zamieniając się w maczugi słowne – a redukcją prawa do czystego i prymitywnego literalizmu, czyli upadkiem kultury prawnej. W obu zjawiskach chodzi o to samo: trzebieenie złożonych i wysublimowanych interpretacji sensów.

Dlatego też to degeneracja debaty publicznej stoi najsilniej za degeneracją kultury prawnej.

Tym co najbardziej liczy się obecnie w debacie politycznej nie jest rzeczywisty spór, lecz okładanie się słowami. Dlatego wśród polityków i dziennikarzy Facebook jest słabiej wykorzystywany niż, jak ujęła to Agnieszka Romaszewska, „bardziej rewolwerowy Twitter”. Na „Twitterze” najbardziej się ceni efektowne nawałanki czyli umiejętne chwytywanie za słówka. Prawdziwej debaty są w tym ilości homeopatyczne.

Paradoksem jest to, że to na stadionach można odnaleźć prawdziwe gry słowne w debacie politycznej. Wbrew bowiem pozorom, stadiony to nie tylko „fight club” czyli ustawki sfrustrowanych chłopaków, ale i wielkie oprawy odwołujące się do polskiej historii. Tutaj gra słowna na nosie władzy po tym jak sędzia-aparatczyk skazał kibiców Jagiellonii Białystok za hasło „Donald matole, twój rząd obalą kibole”. Dlaczego ktoś miałby skazywać za tak niewinne hasła? Ano dlatego, że na stadionach nie można nawet połowy tego, co można wyczyniać w mediach. Jacek Żakowski mógł sobie chlapnąć, żeby Leppera wrzucić do dołu z wapnem, aparatczycy medialni mogą swobodnie

wzywać do obalenia rządu głupiego kurdupła, zaś kibice nie mają prawa powiedzieć do premiera „Donald matole...”

Najbardziej hałaśliwe spory polityczne w naszych mediach są na chwytanie za słówka, które co najgorsze, niemal zawsze są deformacją prawdziwego sensu wypowiedzi. Choć dotyczy to zdecydowanie praktycznie wszystkich stron, jednak wyraźnie dominuje tutaj portal Gazeta.pl.

W ostatnim czasie taką najbardziej kuriozalną manipulacją było przyłączenie się do sformułowania „gorszy sort”, po przekonaniu czytelników, że słowa te odnosiły się do uczestników manifestacji antyrządowych, choć Kaczyński użył tego sformułowania wobec tych, którzy chcą rozwiązywać polskie problemy za pomocą interwencji zagranicznej. W rozumieniu Kaczyńskiego gorszy sort Polaków to ci, którzy ściągają obce interwencje, w związku z naszymi fatalnymi doświadczeniami rozbiorowymi. Gorszy sort to konfederacja targowicka a nie barska.

Podobna manipulacja uderzyła także w Tuska, któremu włożono sformułowanie „polskość to nienormalność” w sensie wyrwanym z kontekstu oznaczającym „polskość to choroba”. Udało mi się dotrzeć do oryginalnego tekstu Tuska o tej polskości, który został opublikowany w miesięczniku Znak w 1987 i jego wymowa jest diametralnie inna niż w potocznym obiegu.

Trudno mi zarzucić jakąkolwiek sympatię do polityki Tuska. Nie uważam jej za nieudolną, lecz niezwykle szkodliwą, której efektem był demontaż państwa. Tyle że jego tekst z 1987 nie był przejawem polonofobii, jak się dziś pisze.

To nie był tekst polityka, lecz historyka i humanisty. Stanowił on krytyczną analizę dziedzictwa polskiego, która właściwa była dla teoretyków endeckich – odrzucenie dziedzictwa idealistycznego i romantycznego. Zapewniam, że znacznie ostrzejsze rozprawy z polsnością można by odnaleźć w pismach przedwojennej endecji, czyli narodowców, którzy

jeszcze ostrzej potępiali polskie marzycielstwo, porywczosć, romantyzm i słabość real politic.

Tusk nie odrzuca tutaj tak kategorycznie dziedzictwa romantycznego Polski, stoi raczej w rozkroku. Polskość to nienormalność – i ja staję się nienormalny. Nie potrafię a może nawet nie chcę odrzucić tej nienormalności. Ta nienormalność jest formą pewnej patologii, ale i uroku. Cytuje aprobowując „Szkice piórkiem” Bobkowskiego, który pisze, że Polacy nie mogą być pragmatycznymi mrówkami, bo ciągle im obcy demolują dom, z charakteru więc najbardziej przypominają motyle.

Swój tekst Tusk kończy słowami: „I szarpię się między goryczą i wzruszeniem, dumą i zażenowaniem. Wtedy sędzę – tak po polsku, patetycznie – że polskość, niezależnie od uciążliwego dziedzictwa i tragicznych skojarzeń, pozostaje naszym wspólnym świadomym wyborem”.

Jest to niezwykle głęboki fragment, znacznie bliższy duchowi sarmackiemu niż endeckiemu. Polskość nie jest tutaj ani dopustem ani balastem, lecz świadomym wyborem. Jest to retoryka diametralnie różna od luminarzy Gazety Wyborczej, dla której kategoria polskości to głównie balast do zrzucenia.

Z tak myślącego młodego Tuska potencjalnie mógł wyrosnąć gorliwy endek. Dlaczego zatem nie wyrósł? Być może dlatego, że nie było w transformacyjnej Polsce miejsca na politykę endecką? Finał kariery Romana Giertycha wydaje się być potwierdzeniem tego.

Z drugiej wszelako strony jesteśmy wypadkową własnych charakterów i wyobrażeń o sobie. Widzę to zarówno u Tuska jak i Kaczyńskich.

Tusk widział polskość jako tragiczny rozziw między wyobrażeniem a spełnieniem, jako etos przegranych, w którym jednak wolność jest wartością najwyższą. Polak „porywa się na czyny wielkie z mizernym skutkiem”. W swoim tekście Tusk

stawiał pytanie, co zostanie z polskości po odrzuceniu wzniosło-ponuro-śmiesznego teatru niespełnionych marzeń i nieuzasadnionych rojeń – i jego kariera polityczna udzieliła tutaj odpowiedzi – w podłych czasach transformacyjnych Polski rozgrywanej przez rozdęte dawne służby i obce mocarstwa, *real politic* łatwo się stała mieszaniną zaprzaństwa i cynizmu. W efekcie ten utalentowany polityk rozfurmanił swój kapitał społeczny i stał się obiektem wielkiej nienawiści w swoim kraju.

Politykę tę mogłoby nieco zrehabilitować jakieś duże osiągnięcie na arenie unijnej na rzecz Polski, lecz nie bardzo się na to zanosi.

Po drugiej stronie mamy równie utalentowanych polityków – braci Kaczyńskich. Ich charakter najsilniej może ukształtowała młodzieńcza rola w popularnej bajce Kornela Makuszyńskiego „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Na ogół kwestia ta jest traktowana w kategoriach żartu, lecz tak jak dowodziłem w swym poprzednim tekście, wielkie role filmowe mogą mieć bardzo silny wpływ na charakter człowieka [1] i wiadomo to już od starożytności. Co więcej, Lech Kaczyński otwarcie mówił, że rola w tym filmie (Jacek) wpłynęła na jego decyzję zostania politykiem! Bajka Makuszyńskiego to opowieść z głębokim morałem o przemianie dwóch małych trolów Jacka i Płacka w osoby wielkiego serca i wiary dla których pieniądze nie mają wartości.

Dojrzałym Kaczyńscy wychowani zostali w etosie sienkiewiczowsko-sanacyjnym. Ten zestaw połączony z tradycją romantyczną dał u nich to o czym pisał Tusk w swoim tekście o polskości – „wzniosło-ponuro-śmieszny teatr” (premier bez własnego konta bankowego, który otwiera dookoła siebie wiele frontów). Tyle że długofalowo to właśnie ta polityka może się okazać bardziej skuteczna. Jeśli prawdą jest to, co głosił Kukiz przed wyborami, że nigdy w systemie proporcjonalnym nie udało się zdobyć jednopartyjnej większości parlamentarnej, to by znaczyło, że PiS przełamał w ostatnich wyborach logikę

systemu proporcjonalnego, co więcej praktycznie bez wsparcia mediów głównego nurtu.

Nie sposób uniknąć tutaj porównań do przedwojennej sanacji, do której PiS nawiązuje, a styl realizowania władzy przez Kaczyńskiego w ostatnim czasie zaczyna coraz bardziej przypominać sanacyjny, w którym architekt zmian był na zapleczu. Sytuacja ta jest analogicznie niebezpieczna. PiS jest bliski zdobycia władzy podobnej do sanacji, a jednocześnie cały on wisi na Kaczyńskim. Sanacja nie umiała sobie poradzić sensownie z dużą władzą gdy zabrakło Piłsudskiego. PiS-owi brak naturalnego następcy. Być może najbliższe lata wyłonią taką osobę.

Gra idzie o dużą stawkę i jest niebezpieczna, gdyż sytuacja geopolityczna w regionie jest coraz gorętsza i słabnąć nie będzie. Minione 25 lat transformacji pokazały, że trudno będzie o realny rozwój Polski bez poważnego naruszenia interesów niemieckich i rosyjskich, a to stwarza naturalny sojusz niemiecko-rosyjski. Rosja uzależniła Polskę od swoich surowców energetycznych, które sprzedawane są po wysokich cenach, choć Polska ma potencjał do budowy energetyki niezależnej. Tak drogie i niezdywersyfikowane surowce energetyczne to jak superpodatek strukturalny, który tłumi rozwój kraju. Jeszcze większe korzyści czerpią z Polski Niemcy. W ramach Unii Polska została tak silnie zadłużona, że w przyszłości grozi nam przejmowanie ziem (np. zachodnich) w zamian za redukcję długów.

W obliczu tych wyzwań Polsce potrzebna jest silna władza centralna, która będzie w stanie zbudować takie sojusze geopolityczne, które nie będą miały interesu w istnieniu słabej Polski, z której młodzi uciekają jak z tonącego okrętu. I to już ostatni dzwonek na dokonanie sensownych zmian.

Nie jestem zwolennikiem stacjonowania w Polsce żadnych obcych wojsk, lecz zabiegi o bazy NATO w Polsce to próba urealnienia papierowego i służalczego partnerstwa ze Stanami, które

wymagałoby od USA naruszenia konsensusu niemiecko-rosyjskiego.

Gdyby do tego doszło rozwinięcie współpracy strategicznej z Chinami, to dałoby to wysoki poziom bezpieczeństwa od wschodu.

Polska potrzebuje takich wielkich partnerów dla wyjścia z gorsetu niemiecko-rosyjskiego. Trudno będzie zrealizować te cele w sytuacji „imposybilizmu” partiokracji i mediokracji, tym bardziej, że media w Polsce zdominowane są przez zagraniczny kapitał. Trzeba sobie uświadomić jak głęboko chora jest to sytuacja: dominujące instrumenty rządu dusz, który w demokracji jest wszystkim, należą w Polsce do kapitału zagranicznego.

Mówienie o demokracji jest pozbawione sensu w sytuacji, kiedy kraj stoi nad ekonomiczną przepaścią, a media urządzają debaty o tym, czy skrajnie niedofinansowana służba zdrowia ma jeszcze finansować zabiegi in vitro. Najpierw trzeba podreperować dostępność podstawowej służby zdrowia. Kiedy wyborcy dyskutują o tematach trzeciorzędnych to jest to atrapa demokracji.

Miniona koalicja zwiększyła zadłużenie Polski z 530 mld zł w 2007 do ponad 900 mld – choć gdyby nie było OFE, to dług ten wynosiłby już ponad bilion zł i rozsadziłby progi konstytucyjne, zmuszając kraj do wyprzedaży resztek „sreber rodowych”, czyli garstki najbardziej strategicznych przedsiębiorstw, lasów, ziemi, złóż. Dodajmy, że jednocześnie bito rekordy prywatyzacji. Za rok, dwa, już nie będzie drugiego OFE do zagarnięcia, więc trzeba by likwidować ostatnie resztki majątku narodowego – w sposób zupełnie nieproduktywny, po czym dług nadal rósłby w taki sam sposób... Tego rodzaju zasadniczej debacie media głównego nurtu nie poświęciły swej łaskawej uwagi.

Przecież widzimy jak na dłoni co dzieje się w Grecji, która jest powoli rozbierana za długi.

Dyskutujemy o duperelkach. Odkręcamy zmanipulowane fragmenty wypowiedzi. Posłanka Izabela Kloc z partii rządzącej tłumaczy

się z przypisanych jej słów jakoby w demokracji niedopuszczalna była krytyka rządu przez media. Przecież nie trzeba wiele inteligencji, by rozumieć, że nikt nie mógłby sformułować tak nonsensownej tezy. W taki jednak sposób nasi mainstreamowi dziennikarze manipulują słowami, wrywając dowolne fragmenty z kontekstów wypowiedzi. W rzeczywistości posłanka chciała powiedzieć, że w demokracji media powinny być infrastrukturą informacyjną, tj. informować także społeczeństwo o tym co robi rząd. Rząd po prostu musi mieć kanał komunikacji ze społeczeństwem, bo inaczej nie da się sprawować władzy. Media nie mogą tylko walić w rząd jak w bęben, muszą także informować. A dziś tego absolutnie nie robią. Nie dziwie się, że obecnie nie są wprowadzane ważne społecznie ustawy, gdyż w aktualnej mediosferze społeczeństwo nie zostanie o nich właściwie poinformowane. Dlatego rząd najpierw walczy o kanał komunikacyjny. To jest absolutny banał, nieprawdaż? Czy można sobie wyobrazić demokrację w której media, rozgrywając interesiki swoich właścicieli oraz sponsorów izolują społeczeństwo od informacji o aktywności głównych władz w państwie? A taką właśnie sytuację mamy obecnie. Dopiero w internecie można znaleźć sensowny przekaz o tym, co dzieje się w państwie. Tak być nie powinno. I taka forma „niezależności” mediów w żadnym razie nie zasługuje na ochronę.

W ten sam sposób bronię obu stron sporu. Kiedy ujawniono nagrania śmietanki ówczesnej władzy, przekonując przez wyrwane co bardziej wulgarne momenty, że były to wyłącznie knajackie rozmowy, opublikowałem pomijaną drugą godzinę [2] rozmowy Belki z Sienkiewiczem, wskazując na jej wysoką wartość merytoryczną. Świat nie jest bowiem czarno-biały i ten kto go takim przedstawia jest fałszerzem rzeczywistości, budującym fundamentalizm, mury społeczne, sektowość w debacie politycznej, okopywanie się w swoich pozycjach, niemożność przyznawania się do błędów (bo zaraz media, zamiast odnotować to z uznaniem, zrobią sensację przedstawiając tego, który uczy się na błędach jako bankruta moralnego).

Ta ostatnia kwestia to duże odrębne zagadnienie, które dowodzi obcości kulturowej współczesnych mediów naszej kulturze. Antropologia człowieka w mediach jest absolutnie sprostestantyzowana. W kulturze tej o człowieku myśli się w kategoriach predestynacyjnych, więc wszystkie jego postęпки, zachowania, błędy – stale i przez całe życie ciążą na człowieku. Jego odmiana jest generalnie niemożliwa, gdyż człowiek rodzi się z określonym przeznaczeniem. Antropologia katolicka uznaje możliwość całkowitej odmiany człowieka zależnej od jego wolnej woli. Stąd w kulturze postpurytańskiej odkrycie, że znana polityk była kiedyś prostytutką jest skandalem, w kulturze katolickiej byłoby to dowodem pozytywnej przemiany (rozsądny dziennikarz przytoczyłby tutaj liczne podobne przemiany z historii). W kulturze katolickiej byłoby absurdem rozliczanie Tuska ze słów sprzed ćwierć wieku.

Ostatnia sensacyjka lingwistyczna ostatnich dni to wypowiedź Waszczykowskiego dla Bilda o tym, że Polska nie godzi się na multikulti oraz jednokierunkowy rozwój ku światu złożonemu z wegetarian i rowerzystów, którzy używają wyłącznie odnawialnych źródeł energii i zwalczają wszelkie przejawy religii. Nie mam zamiaru dowodzić, że była to fortunna wypowiedź, choć mimo wszystko wolałbym, byśmy dyskutowali o tym, co minister wyraził niż czytać histeryczne reakcje, że rząd będzie zwalczał cyklistów i wegetarian. Wypowiedź Waszczykowskiego była bowiem krytyką kompleksu mód chronionych polityczną poprawnością na Zachodzie. Była ona formą obrazy uczuć religijnych, bo wszystkie te mody mają dziś wyraziste quasireligijne podłoże na złaicyzowanym Zachodzie.

Sam wielokrotnie odnosiłem się do owych mód jeśli nie z krytycyzmem to ironią, ale nie dlatego, bym miał cokolwiek przeciw zapalonym wegetarianom, co bardziej z mojej wolnomyślicielsko-sceptycznej przekory.

Kiedy obserwuję moich znajomych zapalonych rowerzystów, wyraźnie widać w ich stosunku do rowerów pewien rodzaj religijnej nabożności, która z wyraźnym uniesieniem reaguje

rowerowy coming out znanych ludzi. W ich światopoglądzie rowerzysta jest w pewien sposób wyższy moralnie.

W ten sposób kierowcy na drabinie poprawnych politycznie upośledzeń moralnych łądzą coraz bliżej myśliwych, mięsożerców i wyznawców starych religii, niewrażliwych na nowe trendy.

Tak jak wszystko co nowe z wierzeniami tymi wiąże się rosnący poziom nietolerancji. Zwolennicy zachodniej poprawności politycznej głoszą relatywizm etyczny jedynie wobec etyk tradycyjnych religii, czyli np. w odniesieniu do kwestii seksualnych, lecz jednocześnie nie uznają swobody wyboru etyki w zakresie nowych wierzeń: mięsożerstwo czy myślistwo jest moralnie złe. Przerywanie ciąży czy eutanazja, jako że związane z dawnymi wierzeniami, objęte jest wolnością wyboru.

Jest to oczywista hipokryzja etyczna. Tym bardziej, że Niemcy, którzy nauczają biedniejsze kraje ekologii, same jednocześnie potajemnie kręcili swoje Volkswageny na normach emisyjnych.

Waszczykowski nie ma zapewne nic przeciwko rowerzystom czy wegetarianom ani nawet ludziom innych ras czy religii. Chodzi jedynie, by Polska mogła iść własną ścieżką rozwojową i we własnym tempie, by nie realizowano tutaj inżynierii społecznych w zakresie nowych etyk, gdyż społeczeństwo powinno ewoluować naturalnie i w swoim własnym rytmie.

Być może dojdziemy kiedyś do tego, że wegetarianizm ma jakieś decydujące racje. Prawdopodobnie rozwój naszej wiedzy o życiu roślin sprawi, że zniknie dzisiejszy mur moralny oddzielający je od zwierząt. Dojdziemy pewnie do wniosku o niezwykłej, głębokiej jedności całego ziemskiego życia. Jaką jednak zbudujemy z tej wiedzy etykę – nie potrafię powiedzieć. Nie odpowiada mi jednak dzisiejszy nieco infantylny i neoficki moralizm wegetariański.

Uważam, że polityczna poprawność nie tylko jest źródłem nowych problemów Zachodu, ale i ogranicza wolność słowa i sumienia.

Warto na końcu ponownie przywołać rozważania Tuska o polskości. Fraza „polskość to nienormalność” naprawdę bardzo mnie urzeka, gdyż wydaje mi się głęboko słuszna historycznie. Polska przez tysiąc lat była inna niż reszta Europy. Zawsze stanowiła element różnicujący i pluralizujący w Europie. Zawsze też była pewną wypadkową wschodu i zachodu. Nigdy nie będziemy tylko wschodem lub tylko zachodem, bowiem nierozzerwalnie należymy do obu światów, które u nas się spotykają.

Tusk pisał, że polskość jest także „nieadekwatną do rzeczywistości projekcją naszych kompleksów”. Obecnie największym polskim kompleksem jest bez wątpienia szloch „Co sobie Zachód o nas pomyśli?”. Tak jakby kiedykolwiek miało dla nas jakiegokolwiek realne znaczenie to czy Zachód myślał o nas dobrze czy źle. Porzućmy te mierne kompleksy, a wówczas odrodzi się polska kultura.

Autorstwo: Mariusz Agnosiewicz

Źródło: [Racjonalista.pl](http://www.racjonalista.pl)

PRZYPISY

[1] <http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9949>

[2] <http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9684>